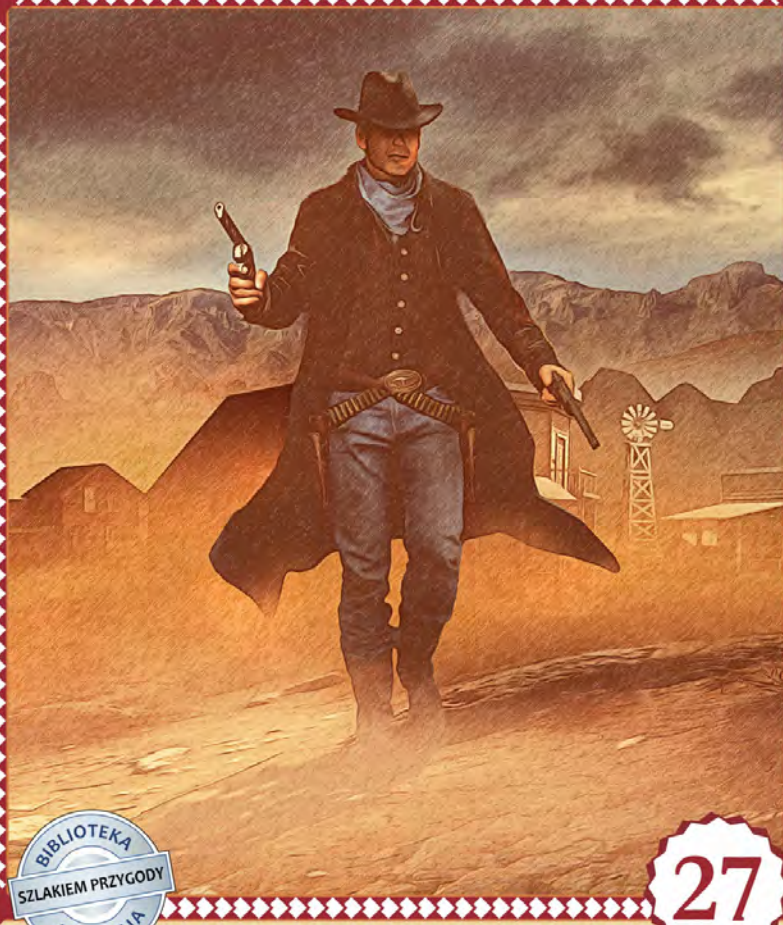




Charles Alden Seltzer

PODWÓJNY REWOLWEROWIEC

Pierwsza część cyklu „Opowieści z Dry Bottom”



27

ISBN 978-83-66268-09-8

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Charles Alden Seltzer

**PODWÓJNY
REWOLWEROWIEC**



Charles Alden Seltzer (15 sierpnia 1875 – 9 lutego 1942) – amerykański pisarz, płodny twórca westernów. Stworzył kilkanaście scenariuszy filmowych i napisał wiele opowiadań, głównie publikowanych w „Argosy” (a także m.in. w „Adventure”, „Western Story Magazine” i amerykańskiej edycji „Pearson’s Magazine”).

Urodził się w Janesville w Wisconsin. Zanim stał się odnoszącym sukcesy pisarzem, był ulicznym sprzedawcą gazet, telegrafistą, malarzem, stolarzem, inspektorem budowlanym, redaktorem małej gazety i rzeczoznawcą. Ponieważ wytrwale dążył do tego, by osiągnąć pisarski sukces, wraz z rodziną żył w biedzie – napisał około dwustu tekstów, zanim któryś z nich został przyjęty, a w tym czasie żona przynosiła mu od rzeźnika papier pakowy, żeby na nim pisał.

Westerny opierał na doświadczeniu wyniesionym ze swojego pięcioletniego pobytu w Nowym Meksyku. Pod koniec życia (w latach 1930-35) został wybrany burmistrzem North Olmsted w Ohio. Jest tam wspominany z dużym szacunkiem i respektem – założył m.in. pierwszą straż pożarną, stworzył plany pierwszej linii autobusów miejskich i dla dobra mieszkańców walczył z potężnymi firmami (m.in. energetycznymi).

Po zyskaniu uznania jako pisarz, jego historie dość szybko trafiły do Hollywood, gdzie stały się kanwami wielu filmów wczesnego okresu kina: najpierw niemych, a później udźwiękowionych.

Zadebiutował w 1900 roku powieścią *The Council of Three*, a jego ostatni wydany tekst, już pośmiertnie, to *So long, sucker* z 1943 roku. Napisał w sumie trzydzieści dziewięć książek, z których dwadzieścia trzy były publikowane w odcinkach w „Argosy”. Do jego najśłynniejszych i zekranizowanych powieści należą *The Range Boss* (1916, ekranizacja 1917), *The Boss of the Lazy Y* (1915, 1917) oraz *The Trail to Yesterday* (obie w 1918). Poza tym dużą popularnością cieszyła się trylogia *Opowieści z Dry Bottom (Tales of Dry Bottom)*, składająca się z następujących powieści: *The Two-Gun Man*, *The Coming of the Law* oraz „*Firebrand*” *Trevison*.

Charles Alden Seltzer



PODWÓJNY
REWOLWEROWIEC

Przełożył Bartłomiej Łopatka

Dziewięćdziesiąta publikacja Wydawnictwa JAMAKASZ

Dwudziesty siódmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Two-Gun Man

© Copyright for the Polish translation by Bartłomiej Łopatka, 2019

14 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek

© Copyright for the cover and inside illustrations by Dariusz Kocurek, 2019

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Kinga Ochojska
Przypisy: Bartłomiej Łopatka, Andrzej Zydorczak
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Skład: Andrzej Zydorczak

Wydanie I

© **Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019**

Nakład: 200 egz.


Egzemplarz nr

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66268-08-1

Druk i oprawa: Polish Druk
85-758 Bydgoszcz, ul. Przemysłowa 34

Rozdział I

Obcy w Dry Bottom¹

 grzbietu Trzymilowego Wzniesienia mężczyzna na koniu mógł zobaczyć rozciągające się na szarej równinie miasteczko Dry Bottom z jego niskimi, zapadniętymi budynkami, które wyglądały, jakby to wiatr bezceremonialnie przywiał tutaj masę starych pudeł, i tak zostały, i dopełniały widoku pustkowiecia.

Najwidoczniej jeźdźcowi nigdzie się nie spieszyło, ponieważ kiedy tylko koń dotarł na wzniesienie i zobaczył miasto, zastrzygł uszami i przyspieszył, to zaraz lejce się napięły i usłyszał głos jeźdźcy, szorstko odradzający pośpiech. Dlatego też koń schodził nieufnie, uważnie, zagryzając niecierpliwie wędzidło podczas wybierania ścieżki na wzgórzu wśród kamieni i kaktusów, ale wciąż blisko szlaku.

Mężczyzna rozłożył się w siodle – jego silne, dobrze zbudowane ciało bujało się z gracją. Jego zmrużone oczy, ocienione rondem kapelusza, zmrużyły się z kpina i zainteresowaniem, kiedy przypatrywał się rozciągającemu się przed nim miastu.

– Więc to pewnie jest Dry Bottom – powiedział wreszcie, zmierzwszy je wzrokiem. – Jeżeli tak, to zostało mi jeszcze ze dwadzieścia mil².

W pół drogi w dół zbocza i jakieś półtorej mili od miasta, jeździec zatrzymał konia. Przerzucił lejce nad łękiem siodła, je-

¹ *Dry Bottom* (ang.) – Sucha Dziura, w znaczeniu „pipidówka”.

² *Mila* – tu: mila angielska licząca 1609 metrów.

den po drugim wyciągnął oba rewolwery, przekreślił bębenkami i włożył je z powrotem do kabur. Słyszał co nieco na temat reputacji Dry Bottom i sprawdziwszy broń, tylko przygotowywał się na wszelki wypadek. Potem przez chwilę siedział w milczeniu w siodle i nagle potrząsnął wodzami, odezwał się do konia, a małe zwierzę ruszyło w dół wzniesienia.

Sarkastyczny podróżnik, który przejeżdżał przez Dry Bottom w jego wcześniejszym okresie powstawania, zanim obywatele skupili się na nazewnictwie, sugerował, by miasteczko nazywało się *dry*¹, ponieważ z siedmiu stojących tam budynków cztery były barami, a *bottom*² mogłoby być drugą częścią nazwy, ponieważ – zgodnie z naturą rzeczy – po miasteczku, w którym cztery z siedmiu budynków to bary, należy oczekiwać upadku wartości moralnych na sam dół.

Ów podróżnik mówił z proroczą mądrością. Dry Bottom próbowało jak najsilniej nurzać się w odmętach grzechu. Dry Bottom, niekochane, brudne, bez zieleni, porzucone na pustynnym pustkowiu między kaktusami, cierpkimi jukkami³, skorpionami, frynosomami rogatymi⁴ i grzechotnikami⁵, zapomniało o moralności, porzuciło swoje zasady i zaniedbało Boga.

¹ *Dry* (ang.) – suchy.

² *Bottom* (ang.) – dolny, dół, niski.

³ *Jukka* – roślina z rodziny agawowatych, rosnąca w Ameryce Północnej i Środkowej na terenach suchych; ma twarde, długie, ostro zakończone liście.

⁴ *Frynosoma rogata* (*Phrynosoma cornutum*) – jaszczurka z rodziny *Phrynosomatidae*, o długości do 13 cm; na głowie ma dwa duże wyrostki przypominające rogi; zamieszkuje tereny Ameryki Północnej, od stanów Kolorado i Kansas na północy do północnego Meksyku na południu i od południowo-wschodniej Arizony na zachodzie do zachodniej części Missouri, Arkansas i Luizjany na wschodzie.

⁵ *Grzechotnik* (*Crotalus*) – rodzaj jadowitego węża z rodziny *Crotalidae*, mający masywne ciało o długości około 2 m; na końcu jego ogona znajduje się „grzechotka” – zeschnię pozostałości skóry po wylinieniu; zamieszkuje stepy i skaliste pustynie Ameryki.

Po zbliżeniu się do miasta na kilkaset jardów¹ jeździec dostrzegł nagle poruszenie. Powstrzymał konia, zwalniając jego tempo do stępa, i czujnym wzrokiem rozglądał się, szukając źródła ekscytacji. Nie musiał długo czekać na wyjaśnienia.

Z jednego z barów wyszedł mężczyzna, krocząc powoli, mając ze dwadzieścia stóp² do środka ulicy – zaraz za nim szli inni, ale wyszli tylko tuż za drzwi. Z jakiegoś nieznanego powodu zostawili pierwszemu mężczyźnie sporo miejsca.

Jeździec był teraz w stanie odróżnić twarze mężczyzn stojących w grupie i z zainteresowaniem przyglądał się człowiekowi, który jako pierwszy opuścił bar.

Był niemal tak wysoki jak on sam, a każdy jego ruch świadczył o pewności siebie. Był młody, miał około trzydziestu pięciu lat, rozbiegane, zuchwałe oczy i zaciśnięte usta, które wykrzywiały się w mimowolnym uśmiechu.

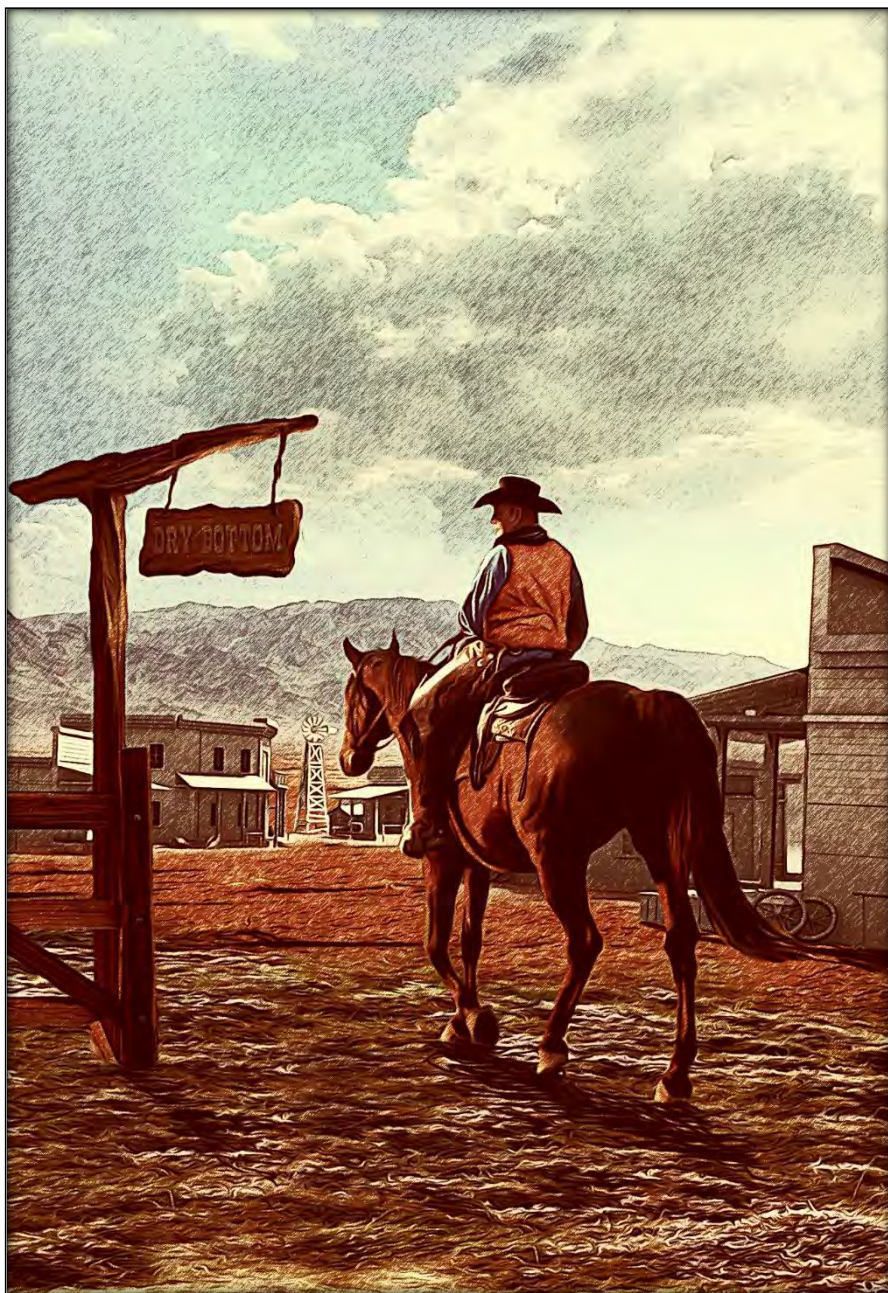
Jeździec znajdował się o jakieś pięćdziesiąt stóp od mężczyzny i zatrzymał konia przy dalszym końcu konowiazu³, który znajdował się przed wejściem do baru. Siedział beztrąsko w siodle, utkwivszy wzrok w mężczyźnie.

Ci, którzy wyszli za nim na zewnątrz, a było ich około tuzina, wydawali się głęboko zainteresowani, chociaż wyraźnie sceptyczni. Niski, gruby mężczyzna, stojący blisko drzwi baru, patrzył na wszystko z lekkim grymasem na ustach. Kilku innych uśmiechało się z pobłażaniem. Wysoki mężczyzna na końcu tłumu, niedaleko jeźdźca, patrzył na mężczyznę na ulicy z powagą. Na twarzach innych odmalowywały się różne odczucia, ale wszyscy milczeli.

¹ *Jard* (yard) – miara długości używana w krajach anglosaskich, równa 0,9144 m.

² *Stopa* – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 30,48 cm.

³ *Konowiaz* – urządzenie w postaci poziomej belki służące do przywiązania koni.



Powstrzymał konia, zwalniając jego tempo do stępa,
i czujnym wzrokiem rozglądał się, szukając źródła ekscytacji.

Nie jednak ten mężczyzna stojący na ulicy. Wyraźnie był uosobieniem zuchwałości, ale zuchwałości wymieszanej z doprowadzającą do szału bezczelnością. Jego wyraz twarzy mówił, że to, co zamierza zrobić, godne jest najwyższej uwagi. To on stanowił oś, wokół której kręciło się zainteresowanie wszechświata.

Z pewnością zdawał sobie sprawę z uwagi, jaką przyciąga. Mężczyźni podchodzili z drugiego końca drogi, dołączając do grupy przed saloonem¹, który – co teraz zauważył jeździec – nazywał się Srebrny Dolar. Nowoprzybyli byli ciekawi – wypytywali po cichu tych, którzy byli tu przed nimi, chcąc dowiedzieć się, o co chodzi.

Tymczasem mężczyzna nie wydawał się zaniepokojony zwiększającą się widownią. Stał w miejscu, które wybrał, i bezczelnym wzrokiem wodził po zebranych osobach. Nieznacznie rozchylił cienkie, wyraziste wargi, pozwalając wydobyć się z nich słowom.

– Panowie – rzekł – zobaczycie trochę strzelaniny. Powiedziałem w Srebrnym Dolarze, że potrafię zrobić pięć dziur w puszcze unoszącej się w powietrzu. Niektórzy z was mówili o udowadnianiu, nie opowiadaniu, więc teraz wam to pokażę!

Pochylił się i podniósł puszkę leżącą u jego stóp. Oderwał z niej czerwoną etykietę, na której środku znajdował się obraz wielkiego pomidora. Puszka była naga i błyszczała w jasnym świetle słonecznym. Mężczyzna postawił ją na lewej dłoni, a prawą wyciągnął rewolwer.

Nagle wyrzucił puszkę w powietrze. Kiedy wciąż leciała w górę, jego broń wystrzeliła, a puszka zatrzęsła się i obróciła. Potem nastąpiły cztery szybkie wystrzały, ostatni tuż przed tym, jak puszka dotknęła ziemi. Mężczyzna uśmiechnął się, wciąż trzymając dymiący rewolwer w dłoni.

¹ *Saloon* – bar z wyszynkiem na Dzikim Zachodzie.



Nagle wyrzucił puszkę w powietrze.

Teraz do przodu wysunął się wysoki mężczyzna stojący dotychczas z boku tłumu i zbadał puszkę, a kilku innych tłoczyło się za nim, żeby popatrzeć. Słysząc było okrzyki zaskoczenia. Ciekawie było oglądać, jak szybko entuzjazm i zdziwienie pokonały sceptycyzm.

– On to zrobił, chłopcy! – wykrzyknął wysoki facet i uniósł puszkę. – Przebita w pięciu miejscach! – Stał wyprostowany, twarzą do tłumu. – To dopiero strzelanie! – teraz popatrzył wokół siebie wyzywająco i uparcie. – Daję sto dolarów, że w tym mieście nie ma drugiego, który by to powtórzył!

Kilku mężczyzn próbowało, ale żadnemu się nie udało dorównać wynikiem pierwszemu. Wielu w ogóle nie potrafiło trafić do puszek. Pierwszy mężczyzna obserwował ich wysiłki i kpiący uśmiech szarpał jego wargi, kiedy jeden po drugim ponosili porażkę.

Wkrótce wszyscy obecni spróbowali swoich sił. Kiedy jeździec przyjrzał się uważniej, zauważył lekkie rozczarowanie na twarzy wysokiego mężczyzny. Był ostatnim, który jeszcze nie zaprezentował swoich umiejętności, a mężczyzna ze środka ulicy patrzył teraz wprost na niego, z oczami błyszczącymi bezczelnym wyzwaniem. Jeździec zwrócił wzrok na strzelca dokładnie w tym samym momencie, kiedy ten zrobił to samo. Ich spojrzenia się spotkały. Strzelec patrzył z lekką drwiną. Jeździec uśmiechnął się, a w jego oczach zabłysnęło coś w rodzaju kpiny.

Najwidoczniej obcy nie zamierzał prezentować swoich umiejętności. Rozsiadł się leniwie w siodle i wodził wzrokiem po tłumie. Wyraźnie oczekiwano od niego, że weźmie udział w konkursie strzeleckim, przez co ludzie zaczęli się niecierpliwie z powodu braku reakcji z jego strony.

– Dwa rewolwery – sarknął mężczyzna stojący obok drzwi baru. – Zastanawiam się, po co targa ze sobą dwa rewolwery?

Strzelec usłyszał to i odwrócił się z prześmiewczo rozciągniętymi ustami w kierunku mówiącego.

– Zakładam, że nic by nimi nie ustrzelił – rzucił.

Kilku mężczyzn się roześmiało. Wysoki, który wcześniej zgłosił nagrodę, podniósł rękę, by powstrzymać dalsze komentarze.

– Sto dolarów dla mężczyzny, który da radę tak strzelać, wciąż aktualne – powiedział. – I ściągam jeden warunek. Mężczyzna nie musi być z Dry Bottom, może być obcy!

Wzrok przyjeźdnego znowu spotkał się ze wzrokiem strzelca. Ten w koci sposób wyszczerzył zęby. Wówczas jeździec przemówił. Tłum zwrócił na niego uwagę.

– Wydaje mi się, że uważacie, że widzieliście niezły pokaz strzelania – powiedział spokojnym, równym głosem, dalekim od chwalenia się – ale myślę, że nie widzieliście prawdziwego pokazu. – Odwrócił się do wysokiego. – Nie mam setki – powiedział – ale dam ci pokaz.

Wciąż siedział w siodle, jednak tym razem szybkim ruchem zeskoczył na ziemię i przypiął konia do konowiazu.



Rozdział II

Obcy strzela

Kiedy obcy stanął na ziemi, wydawał się wyższy niż w siodle, a znaczna szerokość barków i smukłość talii sporo mówiły o jego sile. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, ale linie wyrzeźbione wokół jego ust, błysk drwiny w oczach, wysunięty w przód podbródek i bijąca od niego niezdefiniowana moc mówiły przypadkowemu obserwatorowi, że należy do niego podchodzić ostrożnie.

Strzelec jednak nie widział tych znaków. W pierwszym wymienionym między nimi spojrzeniu brakowało zwykłej serdeczności. A teraz, kiedy jeździec zszedł z konia i zbliżał się do środka ulicy, usta strzelca wykrzywiły się i wydobyły się z nich wolno cedzone słowa:

– Wypasasz owce, nieznajomy?

Usta jeźdźca rozchyliły się w uśmiechu, ale oczy pozostały czujne i zimne. Błysnął w nich chłodny humor. Zatrzymał się i spokojnie przyjrzał się obrażającemu go mężczyźnie.

Na twarzach kilku widzów pojawiły się uśmiechy. Wysoki mężczyzna z poważną twarzą uważnie się przyglądał. Obelga była zamierzona i wielu kucnęło, oczekując poważnych konsekwencji. Ale nieznajomy nie wykonał żadnego ruchu w stronę pistoletów, a kiedy odpowiedział, to tak spokojnym tonem, że mógłby mówić o pogodzie.

– Pewnie wydaje ci się, że jesteś wyjątkowy – powiedział ciicho. – Ale jeżeli jesteś, to nie pokazałeś tego tym mądrym spostrzeżeniem. A są tacy, którzy uważają, że bardziej ekscytujące jest strzelanie do ludzi niż do puszek.

Teraz w jego głosie pojawiła się złowroga nuta. Pochylił się lekko do przodu z zimnym i uważnym wzrokiem. Strzelec zachnął się na próbę, a widownia się uśmiechnęła.

Ale wysoki mężczyzna wysunął się do przodu.

– Wykonałeś ruch, nieznajomy – powiedział po cichu. – Pokaż, że nie blefowałeś.

– Zgoda – przyznał nieznajomy. – Pokażę wam prawdziwe strzelanie. Macie kolejną puszkę?

Ktoś wskoczył do Srebrnego Dolara i szybko wrócił z kolejną puszką po pomidorach. Nieznajomy wziął ją i usunął etykietę, tak jak uczynił to strzelec. Potem uśmiechnął się i stanął na środku ulicy z puszką w prawej ręce.

Nie wyciągnął rewolweru jak strzelec, ale stał rozluźniony w miejscu, w prawej ręce trzymając puszkę, z lewą ręką związającą wzdłuż ciała. Widocznie nie planował strzelać. Na twarzach niektórych obserwatorów z tłumu zaczęło malować się szyderstwo. Strzelec warknął:

– Blefuje.

Nastąpił błysk, jak puszką wlatywała na jakieś dwadzieścia stóp w górę, wyrzucona z prawej ręki nieznajomego. Kiedy osiągnęła maksymalny pułap, to ta sama ręka sięgnęła ku broni u prawego biodra. Błysnęło, kiedy ją wyciągnął – widzowie zamruczeli z zaskoczenia. Pocisk wstrząsnął puszką po ledwie kilkudziesięciu centymetrach opadania; podskoczyła i znów zaczęła spadać, by znowu się zatrzymać, kiedy trafił ją kolejny pocisk. Znikoma przerwa i dwa kolejne razy puszką zadrżała i podskoczyła. Wszyscy w tłumie widzieli, że strzały trafiają.

Puszką była jeszcze dobre dziesięć stóp nad ziemią i daleko od nieznajomego. Ten zaś wyrównał rewolwer i strzelił: pocisk trafił w puszkę, odrzucając ją o dwadzieścia stóp dalej. Zaczęła spadać – ale kiedy znajdowała się o pięć stóp nad ziemią, broń

nieznajomego znowu się odezwała. Puszka podskoczyła, obróciła się i strzaskana, upadła na ziemię, jakieś trzydzieści stóp od obcego człowieka.

Kilku mężczyzn skoczyło, by ją sprawdzić.

– Sześć razy! – wykrzyknął wysoki mężczyzna z podziwem i lękiem. – I nie wyciągnął rewolweru przed wyrzuceniem puszki!

Podszedł do nieznajomego i odciągnął go poufale na bok. Tłum powoli się rozchodził, głośno wychwalając umiejętności tego człowieka z sześciostrzałowym rewolwerem. Ten nie przejmował się pochlebstwami; na twarz powrócił mu drwiący uśmiech.

– Szukam kogoś, kto umie strzelać – powiedział ten wysoki, kiedy wszyscy wrócili do saloonu.

Nieznajomy się uśmiechnął.

– Wygląda na to, że zobaczyłeś niezły pokaz.

Wysoki uśmiechnął się ponuro.

– Ważne, do czego strzelasz? – dopytywał się.

Usta nieznajomego wyprostowały się.

– Zdarzało się, że było... – odpowiedział obojętnie.

– Pech? – spytał wysoki.

– Opływam w szmal – powiedział nieznajomy z ironią.

Oczy wysokiego rozbłysły.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Masz trzy szanse – odpowiedział nieznajomy i przymrużył oczy z szyderstwem, co wysoki widział już wcześniej. Przyjął więc pojednawczy ton.

– Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy – powiedział. – Chciałem się tylko dowiedzieć, czy ktoś tutaj może cię znać.

– Nikt z tego miasta nie wysłał mi komitetu powitalnego, prawda? – uśmiechnął się nieznajomy.

– Prawda – odpowiedział wysoki. Nachylił się. – Popracujesz dla mnie rewolwerami za stówkę na miesiąc?

Nieznajomy spokojnie popatrzył mu w oczy.

– Sporo pytań zadajesz, to może na jakieś odpowiesz. Jak się nazywasz?

– Stafford – odparł wysoki. – Zarządzam Dwoma Diamentami przy Ute.

Nieznajomy szybko zamrugął. Jego oczy dziwnie się zwężyły.

– Do czego ci rewolwerowiec? – spytał.

– Bydłokrad – odpowiedział tamten krótko.

Nieznajomy się uśmiechnął.

– Do odstrzału? – spytał.

Stafford się zawahał.

– Nie, to znaczy dopóki nie będę pewien, że to ten. – Położył poufale nieznajomemu rękę na ramieniu. – Widzisz, właściwie nie wiem, na czym stoję. Złodziej dobiera mi się do bydła, a nie udało mi się dowiedzieć, kto to. Ale to musi się skończyć. Posłałem do Raton po niejakiego Neda Fergusona, który pracował dla Sida Tuckera, o którym Lazy J. Tucker pisał mi jakiś czas temu, że facet zna się na wyłapywaniu bydłokradów. Miał być w Dwóch Diamentach dwa tygodnie temu, ale nie pojawił się i uznałem, że już się nie pojawi. Przyjechałem więc do Dry Bottom znaleźć kogoś.

– Znalazłeś jednego – uśmiechnął się nieznajomy.

Stafford wyciągnął garść podwójnych orłów¹ i włożył je drugiemu do ręki.

– Jadę z powrotem do Dwóch Diamentów – powiedział. – Poczekaj dzień albo dwa, żeby nikt nic nie pomyślał. Przyjdź od razu do mnie, tak jakbyś szukał pracy.

¹ *Podwójny orzeł* (ang. Double Eagle) – złota moneta o wartości dwudziestu dolarów.

Ruszył w stronę konowiązu, przy którym stał jego koń, zawahał się i wrócił.

– Nie przedstawiłeś się – uśmiechnął się.

W oczach nieznajomego zabłyśły isierki humoru.

– Ferguson – powiedział po cichu.

Stafford otworzył szeroko oczy z zaskoczenia i uściśnął prawicę tamtego w swojej.

– Cóż – powiedział ciepło – to ci dopiero szczęście.

Ferguson się uśmiechnął.

– Może być i szczęście – odrzekł – ale zanim zacznę pracę dla ciebie, to musimy się zrozumieć. Mogę strzelać – kontynuował, patrząc spokojnie na Stafforda – ale nie będę uganiał się po polach, strzelając do ludzi bez przyczyny. Spróbuję znaleźć dla ciebie tego złodzieja, ale nie zastrzelę go, dopóki nie zrobi się naprawdę gorąco.

– Zgoda – odpowiedział Stafford.

Znowu obrócił się przez ramię.

– Na pewno przyjedziesz? – zapytał.


– Będę tam za dwa dni – odpowiedział Ferguson.

Odwrócił się i wszedł do Srebrnego Dolara. Stafford wskoczył na swego konia i pośpiesznie wyjechał z miasta.



Rozdział III

Chata na równinie

astał dzień, kiedy Ferguson powinien zjawić się na ranczu Dwa Diamenty. Zamierzał on dotrzymać słowa. Trzy godziny od Dry Bottom dostrzegł Ute i prowadził konia przez las topolowy, który rozciągał się wzdłuż skraju rzeki. Jechał przez zaczarowaną krainę pełną wolnej przestrzeni, białego światła, z błękitnym niebem i czystym powietrzem. W oddali wznosiły się góry, a ich ośnieżone szczyty przebijały chmury jak kamienne iglice wyzierające nad spokojną powierzchnią morza. Nad górami płynęło słońce. Jego dolna krawędź powoli niknęła za szczytami, rzucając szerokie pasy światła, które szybko zaczęły przygasać, wymieszane ze sobą, rozpraszając się w leniwą wielokolorową mgiełkę jak zasłona z gazy.

Wzrok Fergusona błędził od szlaku do czerwonych małych wzgórz okalających rzekę. Znał ten świat, nic tu nie było dla niego nowe. Znał magmowe podłoże, szare i martwe u stóp wzgórz. Znał groteskowo ukształtowane kamienie sugerujące jakąś tajemniczą przeszłość. Natura nie zmieniała swojej twarzy. Na szerokiej równinie widać było zabarwione na żółto linie, które mówiły o obecności juki sinej, ciemne linie o meskitach¹, a pasy *saccatone*² znaaczyły małe kotliny. Były i *barrancas*³, wyschnię-

¹ *Meskity* (hiszp. *mesquite*) – pospolita nazwa kilku roślin z rodzaju *Proposis*, który zawiera ponad 40 gatunków małych drzew strączkowych (do 8 m); pochodzą z południowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych i Meksyku.

² *Saccatone* – sztywna trawa pochodząca z południowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych i Meksyku, używana do wytwarzania pędzli i papieru.

³ *Barranca* (hiszp.) – kanion.

te odcinki, gdzie rosły tylko kaktusy i bylice. Przestrzeń znaczyła węzowa okotija¹, a cierpka jukka dalej pozostawała brzydka.

Ferguson patrzył na świat niewidzącymi oczyma. Długo tu żył i kraj się nie zmienił. Nigdy się nie zmieni. Nie zmieniało się tutaj nic poza ludźmi.

On sam się jednak nie zmienił. Dwadzieścia siedem lat spędzonych w tej krainie to sporo czasu, ponieważ tutaj życie mierzyło się doświadczeniem, a nie wiekiem. Patrząc w przeszłość, widział, że żył tak, jak żył rok temu, dekadę temu – twardym życiem, ale mającym swoje zalety.

Jego przybycie na rancho Dwa Diamenty było tylko kolejnym z wydarzeń, które w ciągu ostatniego roku przełamały monotonię jego życia pogranicznika. Udało mu się rozgonić bandę złodziei bydła, którzy utrudniali życie Sidowi Tuckerowi, jego pracodawcy, a ten polecił go Staffordowi. Obietnica wysokiej pensji była atrakcyjna, więc przyjechał. Nie planował nikogo zaskoczyć. Kiedy w trakcie rozmowy z wysokim mężczyzną w Dry Bottom odkrył, że to on jest właśnie tym, dla kogo ma pracować, sam był tym zaskoczony, ale nie pokazał tego po sobie. Doświadczenie i przebywanie z mężczyznami, którzy zachowywali emocje dla siebie, nauczyły go, ile warta jest powściągliwość przy innych.

Kiedy jednak zostawał sam, emocje dawały o sobie znać. Wokół nie widział i nie słyszał nikogo, a cisza przestrzeni i wielkie, błękitne niebo nic nie powiedzą.

To, że Stafford przyjechał do Dry Bottom po rewolwerowca, wcale go nie zdziwiło. Widocznie zarządca Dwóch Diamentów chciał śmierci bydłokrada, o którym mówił. Jak zaznaczył, szukał kogoś, kto potrafi „strzelać”. Ferguson zrozumiał to tak, że

¹ *Okotija* – roślina z rodziny wrzosowatych; są to dość wysokie, kolumnowe rośliny o zdrewniałych pędach, gęsto pokryte cierniami.

chciał zatrudnić kogoś, kto nie miałby skrupułów przed zabiciem wskazanego człowieka, nieważne, czy winnego czy nie. Miał trochę doświadczenia z bezlitosnymi zarządcami ranch i niezbyt ich szanował, dlatego też tego dnia w trakcie jazdy jego usta często wykrzywiały sarkastyczny uśmieszek.

Kiedy jechał przez szeroką przecinkę w topolowym zagajniku, wymówił na głos myśl, która zaprzętała go od momentu zatrudnienia przez Stafforda.

– Cóż – powiedział podczas jazdy, siedząc niedbale w siodle – chce ze mnie zrobić rewolwerowca, ale myślę, że nie zastrzelę nikogo, dopóki nie będę pewny, że ten ktoś strzela do mnie – jego usta wykrzywiły się ironicznie. – Zastanawiam się, co chłopaki od Lazy’ego J. by pomyśleli, gdyby wiedzieli, że facet próbuje zrobić z ich starego szefa rewolwerowca. Pewnie uznaliby, że ten facet jest szalony albo grubo się myli. Ale wiem, o co chodzi. Nie jadę setki mil tylko po to, żeby popatrzyć na faceta, który chce mnie zatrudnić. To zawsze jakaś odmiana. A kiedy wrócę do Lazy’ego J., to...

To nie była ani wina konia, ani Fergusona. Zwierzak był doświadczony, jego oczy nabyły mnóstwo mądrości, dzięki której wyratowywał siebie i jeźdźca z wielu kłopotliwych miejsc. Ferguson jeździł konno całe życie i nie wiedziałby, co ze sobą zrobić na piechotę.

Koń się jednak potknął. Przeszkodą była nora pieska preriowego¹ schowana pod kępą meskitów. Ferguson poleciał do przodu, próbował chwycić się siodła, ale chybił i wyleciał głową naprzód, obracając się w powietrzu i lądując na nogach. Przez

¹ *Piesek preriowy* (nieświszczuk, *Cynomys*) – rodzaj ssaka z podrodziny afro-wiórek (*Xerinae*) w rodzinie wiewiórkowatych (*Sciuridae*); nieduże zwierzę mające do 30 cm długości (z ogonem do 40 cm); żyje w Ameryce Północnej i Środkowej; nazywany jest „pieskiem”, ponieważ w chwili zagrożenia lub zainteresowania wydaje odgłosy podobne do szczekania.

chwile stał, ale impet był zbyt duży. Wywrócił się, a kiedy spróbował się podnieść, ukłucie bólu w prawej kostce wywołało na jego twarzy grymas bólu. Wstał i dokuśtykał do płaskiej skały, obok której jego koń skubał trawę, jakby nic się nie stało.

Ferguson ściągnął but i szybko ocenił stan kostki. Była zaczerwieniona i bolała, ale nie wydawała się połamana. Zaczynała puchnąć. Potarł ją, chcąc zmniejszyć ból. Bawełniana skarpetka przeszkadzała w masowaniu, więc ją ściągnął.

Przez kilka minut zajmował się kostką, ale z nie najlepszym skutkiem. Wreszcie uznał, że to dość bolesne zwichnięcie i unióśł głowę z niezadowoleniem. Koń spojrzał na niego z zaciekawieniem, więc mężczyzna uśmiechnął się, nagle dostrzegając humor tej sytuacji.

– Nie masz żadnego prawa wyglądać tak radośnie beztrąsko – powiedział. – Gdybyś myślał, co robisz, nie wlaźłbyś w tę przekłętą dziurę, zrobioną chyba przez świstaka.

Koń powoli się odsunął, a Ferguson popatrzył za nim i rzucił kolejne uwagi:

– Może gdybym ja myślał, co robię, to też by się nie stało – odezwał się znowu do konia. – Ty też to wiesz, Musztardowy. Mądry konik z ciebie.

Zwierzę stało teraz w małej odległości od skały, na której siedział Ferguson. Jeździec wstał i pokuśtykał ku niemu na jednej nodze, niosąc w ręce ściągnięty but. Pomyślał o jeździe z gołą stopą. W Dwóch Diamentach na pewno znajdzie jakieś mazidło, które razem z bandażem bardzo pomogą naturze w...

Przechodził obok kępki meskitów, kiedy mocno potrząsnął bosą stopą. Nagle usłyszał ostrzegawcze grzechotanie, a potem dostrzegł szybki ruch płaskiej, brązowej głowy.

Ferguson zatrzymał się zaskoczony i prawie stracił równowagę przez ten nagły atak. Wciąż mocno zaciskał w dłoni but.

Podniósł go mimowolnym ruchem, jakby miał rzucić w podstępного wroga, ale tego nie zrobił. Opuścił ramię wzdłuż boku i pobladł na twarzy. Wpatrywał się tępo i bez zrozumienia w esowaty kształt, który bezszelestnie znikał w trawie.

Nigdy nie został ukąszony przez grzechotnika. Widział ich już tyle, że były dla niego tylko celami, do których mógłby postrzelać w ramach ćwiczeń, a teraz został ugryziony. Niereczywistość tego wydarzenia go zaskoczyła. Spojrzał na ciche wzgórze wokół, na płynące ponad wierzchołkami gór słońce, na przepastny łuk rozciągającego się nad nim nieba. To wszystko wydawało się tak samo niereczywiste. Zupełnie jakby nagle znalazł się w krainie snów.

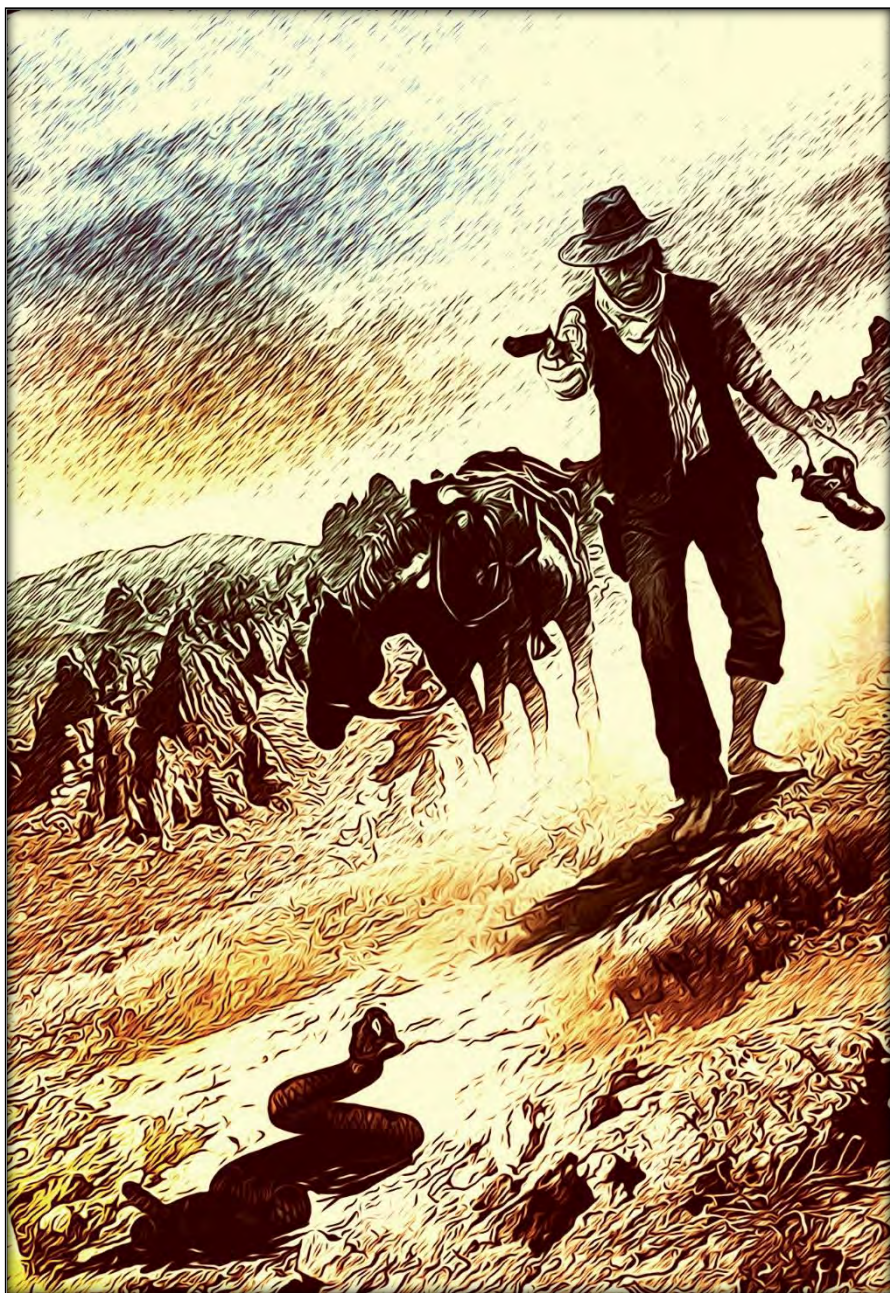
Niebezpieczeństwo sytuacji jednak nagle go uderzyło i z powrotem znalazł się w rzeczywistości. Spojrzał na stopę. Tętniąca punktowa rana widniała tuż przy podbiciu stopy. Płynął z niej mały strumyk krwi. Zapomniał o bólu skręconej kostki i stanął na obu nogach, nagle zeszywniały, z twarzą poczerwieniałą od pochłaniającego go gniewu, i potrząsał pięścią w stronę znikającego grzechotnika.

– Przeklęta, nędzna kreatura! – wykrzyknął gniewnie.

W tej samej chwili wyciągnął jeden ze swoich ciężkich rewolwerów i przeciągnął go nad głowę. Ogłuszający wystrzał spowodował nagłe poruszenie w trawie i Ferguson podskoczył bliżej, żeby posłać kolejne trzy pociski w podskakujące brązowe ciało. Stał nad nim przez chwilę, wyszczerzając zęby w dzikim grymasie.

– Już nikogo więcej nie ugryziesz, ty cholero! – krzyknął.

Natychmiast uderzyła go bezcelowość tego zachowania. Zarumienił się i opuścił głowę. Ponury uśmiech powoli zastępował panikę na twarzy. Rzadko pozwalał na to, żeby jego emocje tak wyraźnie się ujawniały, ale szybkość ataku grzechotnika,



– Już nikogo więcej nie ugryziesz, ty cholero! – krzyknął.

zaskoczenie, bo niczego takiego się nie spodziewał, fakt, że był daleko od możliwej pomocy i że jego życie jest w niebezpieczeństwie, to wszystko nadwyrężyło jego samokontrolę. A mimo to uśmiech pokazywał, że jeszcze wciąż panował nad sobą.

Bardzo ostrożnie wrócił do kamienia, na którym siedział, rwąc płaszcz i odrywając rękaw bawełnianej koszuli. Zwinął go w prymitywny sznur i obwiązał luźno nogę tuż powyżej kostki. Potem wetknął nóż między linę a nogę, tworząc prowizoryczną opaskę uciskową. Kręcił ostrzem, aż w oczach pojawiły mu się łzy bólu, a potem przymocował je, wciskając rękojeść pod linę. Jego ruchy były przemyślane i pewne. W kilka minut dokuśtykał do konia i wskoczył na siodło.

Widział mężczyzn pokąsanych przez grzechotniki, widział, jak umierali, i wiedział, że jeżeli w przeciągu pół godziny nie znajdzie pomocy, to później nic już nie zdziała. Za pół godziny trucizna tak się w nim rozleje, że zastosowanie jakiegokolwiek antidotum, powszechnie znanego mieszkańcom tej krainy, będzie bezużyteczne.

Z tego, czego dowiedział się w Dry Bottom, wynikało, że ranczo Dwa Diamenty znajdowało się o jakieś trzydzieści mil od miasta. Jeżeli jechał średnio osiem mil na godzinę, to powinien już przejechać około dwudziestu czterech mil. W takim razie zostawało jakieś sześć. Nie mógł specjalnie mieć nadziei na przebycie tego dystansu w niezbędnym czasie, by antidotum mogło zadziałać.

Jego usta wyprostowały się i wpatrywał się ponuro w linię ciemnych wzgórz, które majaczyły na horyzoncie. W Dry Bottom powiedzieli mu, że ranczo Dwa Diamenty leży gdzieś w dużej kotlinie pod tymi wzniesieniami.

– Wydaje mi się, że jednak tam nie dotrę – powiedział na głos.

Następnie w ponurym nastroju pojechał dalej, ciągle opanowany, ponieważ widział ludzi, którzy po ugryzieniu przez grzechotnika tracili kontrolę nad sobą, i nie był to ładny widok. Wiele zależało od spokoju – słyszał kiedyś, że wzmożony wysiłek w kilka minut po ukąszeniu to błąd. Trucizna zaczyna wtedy szybciej krążyć w żyłach. Jechał więc równym tempem, uważnie unikając trudnych miejsc, ale trzymając się możliwie najbliżej szlaku.

– Gdyby to nie był grzechotnik teksański, to może bandaż wokół nogi by na niego wystarczył, ale chyba mnie dorwał – powiedział głośno, a jego oczy rozbłysły dziko. – Ja jednak też go dorwałem. Myślał, że ujdzie mu na sucho wbijanie we mnie kłów.

Niebawem jego oczy zaczęły odbijać szafranowe światło jarzące się na zachodnim niebie. Roześmiał się ponuro.

– Słyszałem, jak opowiadano, że wąż nie może zdechnąć przed zachodem, nieważne jakbyś go zranił. Jeżeli to prawda i nie dojadę po pomoc, to chyba będziemy mieli pata w kwestii tego, który z nas pierwszy wykituje.

Jakiś czas później zatrzymał Musztardowego. Siedział wyprostowany w siodle i utkwiał wzrok w wysokiej topoli rosnącej niedaleko szlaku. Jego serce biło szaleńczo i mimo starań czuł, jak kiwa się z boku na bok. Wiele razy widział, jak grzechotnik podnosi tę brzydką, płaską głowę nad zwinięte ciało, jak wystawia rozwidlony język, jak jego jadowite oczy lśnią, a głowa i część ciała unoszą się powyżej zwojów poruszających się z gracją do przodu i do tyłu. Tak, z gracją, ponieważ pomimo pewnej obrzydliwości, w grzechotniku tkwiła swoboda poruszania się; jego płynne, sinusoidalne ruchy odkrywały po części ukryte pokłady siły i wskazywały na ukrywaną energię.

Wiele razy, kiedy je obserwował, czuł się zafascynowany ich wdziękiem, a teraz, kiedy tak siedział w siodle, to złapał się na

rozmyślanii, czy efekt pokąsania mógłby być tak silny, żeby ugryziona osoba zaczęła przez to udawać węża. Zaśmiał się, kiedy o tym pomyślał, i uderzył mocno ostrogami boki Musztardowego. Ruszył naprzód i minął wysoką topolę, w którą się wpatrywał.

– Do diabła! – wykrzyknął, mijając drzewo. – Co za bzdury.

Nie mógł jednak wyrzucić z głowy tego ruchu i pięć minut później, kiedy znowu spróbował nieruchomo siedzieć, jego kołysanie tylko się wzmogło. Siodło wydawało się ruszać razem z nim – nawet wsunięcie zdrowej stopy w strzemień nie pomagało.

– Może nie dotrę daleko – powiedział, świadom, że trucizna rozlewała się w nim i niebawem zburzy mu krew – ale będę jechał, dopóki się nie zatrzymam. Niech ten przekłety grzechotnik nie myśli, że tak szybko mnie pokona.

Pogonił Musztardowego do szybszego biegu, mimo że miał świadomość, że to i tak za mała prędkość. Nie był w stanie dotrzeć do Dwóch Diamentów. Zatrzymał ponownie konia, a ponieważ wciąż się kiwał, po raz pierwszy chwycił za łęk siodła i spróbował złapać równowagę. Dalej jednak się bujał. Zaśmiał się szyderczo.

– Co o tym myślisz? – powiedział, zwróciwszy się w ciżbę. – Pomyślałby kto, że jestem żółtodziobem i nie wiem, jak jeździć konno.

Ponownie popędził konia i przez chwilę jechał z pochyloną głową, próbując utrzymać równowagę i obserwując szlak. Przejechał przez małą polanę, porośniętą splątaną trawą, z której wystrzeliwało w górę kilka nagich skał. Niedaleko kępki bylicy zauważył nagłe poruszenie: jakiś grzechotnik próbował niepostrzeżenie odpelznąć, lecz znalazł się w polu widzenia Fergusona i ten z nienawiścią wyciągnął jeden z rewolwerów, zakręcił nim nad głową, a grzmot wystrzału wzbudził echa w lesie. Dwa

czy trzy razy rozbrzmiał huk, ale grzechotnik odpełził spokojnie i schował się w trawie, chyba nawet niezraniony.

Mężczyzna wykrzywił twarz, a potem na jego czerwonym obliczu pojawił się szyderczy uśmiech.

– To chyba po mnie – powiedział. – Nie umiem nawet trafić grzechotnika, a to pewnie brat czy siostra tamtego. – W oczach rozblęsnął mu szaleńczy blask i wydawało się, że zaraz zsiądzie z konia. – Zaraz cię rozwałę! – powiedział do węża, którego już nie widział. – Kąsanie mnie nie ujdzie na sucho żadnemu gadowi!

Teraz uśmiechnął się z poczuciem winy, z zawstyżeniem w oczach.

– To raczej nie był wąż, który cię ugryzł, Ferguson – powiedział. – Ten jest na szlaku. Nie zemrze aż do zachodu słońca. Nie przed zachodem słońca – powtórzył mechanicznie i ponuro. – Ferguson nie zemrze przed zachodem słońca.

Jechał dalej, nie zwracając zbytnej uwagi na konia, bowiem puścił lejce i trzymał się tylko łęku siodła. Jego twarz było rozpalona, ręce mu drżały, a w oczach pojawił się nienaturalny blask.

– Fergusona dziabnął grzechotnik! – wykrzyknął nagle z zabawieniem. – Wbiegł boso na gada, próbował po nim przejść. – Śmiech uciął się tak nagle, jak się pojawił, a w jego głosie zabrzmiała ponura nuta. – Ale Ferguson nie jest nowicjuszem, nic się nie przestraszył. Ruszył dalej bez słowa. Widzicie, uważał się za mężczyznę.

Jechał dalej jeszcze przez chwilę, a kiedy dostał się na następny polanę, w oczach pojawił się u niego jakiś blask.

– Wciąż ja...dę... – wymamrotał.

Na szlak padł cień, usłyszał ciche parsknięcia Musztardowego. Dostrzegł przed sobą chatę, usłyszał krzyk, zobaczył niewyraźną drobną sylwetkę kobiety siedzącej na małym ganku.

Jak przez mgłę widział, jak wstaje i idzie w jego kierunku, staje na brzegu werandy i patrzy.

Uśmiechnął się i pochylił nisko nad grzywą konia.

– Zastrzeliłem go, proszę pani – powiedział poważnie – ale on nie może zemrzeć przed zachodem słońca.

Głos, jaki do niego dotarł, nadlatywał jakby z dużej odległości.

– Litości! – powiedział głos. – Co się stało? Kto jest zastrzelony?

– Ależ wąż, proszę pani – odpowiedział niewyraźnie. Zsunął się z konia, dobrnął do krawędzi ganku, oparł się o jeden słupek i przywarł do niego. – Widzi pani, ten cholerny grzechotnik dorwał Fergusona, ale Ferguson nie zamierza umrzeć aż do zachodu. Nie da się pokonać żadnemu wężowi.

Widział, jak kobieta rusza ku niemu, poczuł jej dłonie na ramionach, kiedy pomagała mu wejść na werandę. A potem poczuł, jak naciska na niego w dół. Wyczuł pod sobą krzesło i zapadł się w nie, opierając się i wyciągając. Przed nim przesunęła się jakaś postać i niebawem poczuł ostry ból w stopie. Próbował wstać z siedzenia, ale został natychmiast na nie wepchnięty z powrotem. Potem postać pochyliła się nad nim, rozwierając mu szczękę jakimś metalowym przedmiotem i wlała coś do gardła. Mlasnął, przelękając, kiedy próbował wypchnąć ten przedmiot.

– Jesteś piekielnym wężem – powiedział dziko, po czym świat zawirował mu w oczach i odpłynął w niebyt.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!